

POTOMEK
WILKOW

Adrian K.
Antosik

S
a
g
a

R
o
d
u

D
w
o
c
h

D
t
o
n
i

Adrian K. Antosik

Potomek Wilków

© Copyright by Adrian K. Antosik & e-bookowo

Skład: Ilona Dobijańska
Zdjęcie na okładce: Agnieszka Barć

ISBN e-book: 978-83-8166-128-7
ISBN druk: 978-83-8166-129-4

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

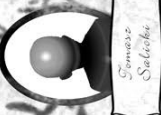
Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2020

[Kup książkę](#)



Elekcieś
Salichka



Tomasz
Salichka



Milgerozga
Kozak



Matusz
Kozak



Xirga
Xuk



Nataniel
Xuk



Adrian
Xuk



Gregorio i Anna
Sullovoy



Andriy i Zilia
Kozak



Abdulkarim
Xuk



Morab
Xuk



Kiepsztuf i Dorota
Xuk



Nikolario
Wulbel



Ignacy
Xuk



Antoni
Xuk



Joof i Lusia
Xuk



Stankiewicz i Regina
Kulovoy



Piotrowski i Anna



Pavel i Helena
Xuk



Ładysław
Ładysław

Pamięci Józefa Antosika
Synowi Pawła i Heleny z domu Goździk
Mojemu dziadkowi

Ten Ród

1800 rok

Tętent konskich kopyt zagłuszał ciszę ciemnego boru. Wąską, nieuczęszczaną ścieżką pędził jeździec, ponaglając konia uderzeniami wierzbowej gałązki. Czarna szata mężczyzny łopotała unoszona pędem. Raptem mężczyzna osadził konia, ciągnąc takim impetem zalejce, iż koń nieomal przysiadł na zadzie, zatrzymując się na skraj polany. Zespienionych chrap wydobywał się ciężki oddech, a jego ciałem wstrząsały dreszcze. Mężczyzna zadowoleniem poklepał ogier a poszyi, uśmiechając się z satysfakcją. Dopiero teraz rozjrzał się wokół. Stał na skraj niewielkiej polany, w której epicentrum stały zgliszczu zamku. W świetle księżyca dostrzegł, że w równym promieniu od nich nie rosło nic oprócz trawy, a i ta ginęła w niewielkiej odległości od murów.

– Przekłeta ziemia – sapnął delikatnie, ściskając konia udami. Kasztan ruszył powolnym krokiem w stronę miejsca, gdzie niegdyś znajdowała się brama. Mężczyzna zaczął wygwizdywać melodię, którą miałą pozwolić mu bezpiecznie wkroczyć na ziemie potępionych. Gdy od ruin dzielił go zaledwie koński sus, po obydwu bokach niegdyśszej bramy zapłonęły pochodnie. Tuż zanim dostrzegł nowicjuszy ubranych w brązowe szaty, na głowach mieli kaptury. Na widok mistrza skłonili się. Zaraz po tym, jak wkroczył w pozostałości zabudowań, zapaliły się kolejne dwie pochodnie, a po nich następne. Gdy dotarł na wielki dziedziniec, ściany dawnych zabudowań jaśniały w ich blasku.

– Z dala musi to wyglądać, jakby płonęły – szepnął do siebie. Zmrużył oczy, a wargami wypowiedział zaklęcie. Jego umysł odnalazł puchacz siedzącego na skraj polany. Zwierzę drgnęło niespokojnie, gdy jego jaźń wniknęła w niego, rozpędem łamiąc wszelki bunt woli. Jego oczami spojrzał na zamek. Miał rację, z daleka widział łunę unoszącą się nad ruinami. Opuścił jaźń zwierzęcia, które zamachało w rozpaczy skrzydłami. Tę niefor-

tunny ruch sprawił, iż spadło z drzewa tuż pod nogi dzika. Nim ptak zdążył cokolwiek zrobić, potężny od dymu nieczekał jego istnienia, odgryzając głowę oddrgającego konwulsyjnie korpusu. Mężczyzna otworzył oczy w momencie, gdy nowicjusz podchodził do jego rumaka.

– Mistrzu, najjaśniejsi na ciebie czekają – mówiąco, złapał za uzda, przytrzymując konia.

Mistrz uśmiechnął się, zgrabnie zeskakując na ziemię. Widział grupę czterech starych stojących na środku dziedzińca, tuż zanim nastosie pogrzebowym leżało ciało piętego. Zatrzymał się przed zgromadzonymi i skłonił.

– Gdy jeden odchodzi, inny zajmuje jego miejsce, by było nas pięcioro. Pięcioro jak pięć palców jest wręcz, by w miażdżącą zło pięść mogła się zacisnąć. – Czwórka najjaśniejszych przywitała go.

– Jednym z pięciu, pięciu jednością, bądźmy pięścią karzącą! Sentencja, którą wypowiedział machinalnie, w dawnych czasach miała ogromne znaczenie, teraz jednak było tylko przedostatnim krokiem zbliżającym mistrza do awansowania na najjaśniejszego.

– Ten, którego przyprowadziłeś, czy jest na tyle potężnym złem, by był godzien złożenia w ofierze? – mówiąco, skinął ręką. Pochodnie obok stosu rozbłysły, ukazując przykutego ogromnym łańcuchem pólnagiego młodzieńca, którego pierś podnosiła się i opadała w przyspieszonym oddechu.

– Natrafiłem na jego ślad w Polsce – zaczął mistrz – już od ponad roku jest wilkołakiem, jednak dziwnym. Nie wpadał w szaleństwo, nie zmieniał się. Może to przez to, że zabiłem jego stwórcę. Nie jestem pewien. Jednak od tamtego czasu go obserwuję. Nawet miałem wątpliwości, czy został zarażony, jednak pewnej nocy udowodnił mi, że to potrafi i nie potrzebuje księżycy!

– Niesłychane – czterej starcy odezwali się jednocześnie.
– Nie ma na co czekać – rozległ się głos najstarszego z czwórki. – Niech mistrzowie i adepci Zakonu Lewej Ręki Bogazapalą pochodnie! Czas, by piąty najjaśniejszy powrócił! Mistrzu, rozpocznij rytuał!

Powiedziawszy to, ruszył przed siebie, a wraz za nim pozostali. W czwórkę okrążyli stos oraz przykutą ofiarę, tworząc wokół krąg, do którego wszedł piąty mistrz. Starcy unieśli ręce, a pochodnie trzymane przez wieluludzinagle zapłonęły jasnymi płomieniami, rozświetlając całą okolicę jasną łuną. Mistrz rozciągnął wargi w szerokim uśmiechu. Teraz cały przebieg ceremonii zależał tylko i wyłącznie od niego.

Trzymając dumnie przed sobą pochodnię, był najdalej oddaloną osobą odepicentrum, co było jednoznaczne z pozycją najmłodszego w zakonie. Jednak pomimo tego był z siebie dumny, wstąpił do zakonu, by niszczyć zło i uczestniczył w tym już trzykrotnie.

Teraz, gdy jeden z pięciu najjaśniejszych odszedł, miał stać się świadkiem kolejnego wielkiego wydarzenia w zakonie, nastanie nowego Najjaśniejszego. Napięcie w powietrzu, dreszcz na ciele, wszystko mówiło mu, jak wielkie jest to wydarzenie. Dla wszystkich, nie tylko dla mistrza, który dostępował tego zaszczytu.

Wypuścił powietrze, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w to, co działo się bezpośrednio na placu, gdy nagle poczuł nieprzyjemne mrowienie. Rozejrzał się po zebranych członkach zakonu. Wszystko wydało mu się takie jak powinno być. Uniósł głowę, spoglądając na przeciwległą stronę, gdzie stał jego przyjaciel, opół roku starszy w hierarchii, jak często zdarzało mu się żartować. Raptem dostrzegł stojące za nim zakapturzone dwie postacie. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, iż jedna z nich łapie

zarękę z pochodnią, druga zaś zakrywa usta kolegi, wbijając mu sztylet pod żebrą. Zamrugał, rozdziawiając usta w przerażeniu, jednak teraz dostrzegł jedyną sylwetkę, stojącą jak stała, zgłowopochyloną kudołowi, z pewnością wpatrującego się z zainteresowaniem w odprawiane rytuały.

Zamknął usta i wziął głęboki wdech. Z pewnym zakłopotaniem stwierdził, iż krople potu sperliły mu czoło. Nie rozumiał, skąd w takiej wzniosłej chwili mogły wyzwolić się w nim tak wielkie pokłady strachu. Otarł wolą ręką czoło, tak by nie tracić z pola widzenia tego, co dzieje się na dole. Nagle poczuł, jak po jego karku przelatuje zimny dreszcz. Wyprostował się, usztywniając mięśnie. Był pewien, iż stożanin jakaś postać, a jednocześnie nie mógł w to uwierzyć. Gdy czyjaś dłoń złapała go z rękę z pochodnią, a druga brutalnie zatkała usta, powtarzał sobie w myślach, że to wszystko nie może tak się skończyć, przecież był wybrańcem bożym. Chłód ostrza wbijanego pod żebrą sprawił, iż w odruchu spróbował się wyprężyć, instynktownie uciekając od źródła bólu. Po jego bokach zaczęła spływać ciepła ciecz, brocząc jego szatę. Ktoś delikatnie, niczym matka położył go na ziemi. Świat powoli się rozmazał. Wyteżył wzrok. Jego oczy spoczęły na butach kogoś stojącego na jego miejscu. W sercu zapłonął mugniew. Szarpnął się, uwalniając usta od palącej go ręki. Wziął głęboki wdech, by wrzasnąć przeraźliwie, na całe gardło. Coś ukuło go w przełyk. Fala potwornego bólu rozpłynęła się po ciele. Ciepła, gęsta ciecz zaczęła zalewać mu gardło, z którego wydobył jedyni tłumiony bulgot.

– ...i stanę się godny, by stać się jednym z pięciu!

Jego donośny głos rozbrzmiewał niczym grom w ruinach zamczyska. Czuł na sobie wzrok wszystkich członków zakonu. Podświadomie, na granicy myślowych wyczuwał ich pragnienia. Chcieli być na jego miejscu, mieć jego władzę, jego potęgę!

Omalsię nieroześmiał, czując przenikającą go falę zawiści. Jednak w porę się opanował, gdy z czterech stron zaczęli zbliżać się do niego najjaśniejsi. Ukląkł. Położyli na nim swoje starcze ręce. – Ukląkłeś poddanym – wydobył się głos z czterech gardeł jednocześnie – powstań nam równym. Stań się jednym z najjaśniejszych. Bądź palcem u jednej dłoni. Przypieczę tują swą wolę krwią bestii!

Powstał. Najstarszy podał mu sztylet. Przyjął go i schował za pas. Obrócił się w stronę swojej ofiary, poczym przeniósł wzrok na Najjaśniejszego spoczywającego na stosie pogrzebowym. Nagle przypomniało mu się, jak jego mistrz kiedyś opowiadał okażę dwóch dłoni. Prostym w wykonaniu zaklęciu, które służyło do oznaczenia ofiary. Nie pamiętał, co dokładnie działo się z oznaczonymi, jednak zaklęcie było proste i bardzo efektowne. Uśmiechnął się, zrzucając siebie wierzchnią szatę. Stając półnagi przed zgromadzeniem, z przepięknym sztyletem schowanym za pasem, uniósł obydwie ręce ku górze.

– Ja, Najjaśniejszy – krzyknął, obracając dłoń, a pod stosem rozbłysły płomienie ognia – dopełnię rytuału, tak jak robili to nasi czcigodni bracia!

Raźnym krokiem podszedł do oszalałego ognia i zanurzył w nim dłoń, jednocześnie mrużąc zaklęcia. Pochwili wyrwał je i znów podniósł nad głowę, ukazując, iż żarzą się czerwienią, od łokci po czubki palców. Opuścił je, podchodząc do ofiary. Nie zwalniając kroku, wyprowadził kopnięcie prosto w twarz przykutego łańcuchami, który dotąd przyglądał się wszystkiemu z zainteresowaniem. Niczym dzielony kundel na łańcuchu, jego ofiara poderwała się i rzuciła na niego. Łańcuchy napięły się i szarpnęły rękoma młodzieńca w tył, tak że wypiął pierś do najjaśniejszego. Tan właśnie na to liczył. Z pełną furii pasją

przłożyłoby dwiedźlonie dopiersi młodzieńca. W jego nozdrza uderzył zapach palonej tkaniny i skóry. Dostrzegł żyłą napinającą się na szyi swojej ofiary, a jej twarz pokryta teraz czerwienią oraz bólem sprawiła mu niezmierną przyjemność. Płynnym ruchem oderwał rękę od młodzieńca, który osunął się na kolana. – Oznaczyłem swą pierwszą ofiarę – wykrzyczał, dobywając rytualnego sztyletu. – Teraz nadszedł czas, by dopełniła się ceremonia!

Uniosł uzbrojone ramię nad głowę, by zadać śmiertelne pchnięcie, gdy nagle kątem oka dostrzegł delikatny ruch światła padający z jednej pochodni. Już miał się odwrócić w tamtą stronę, gdy jego uwagę zwrócił śmiech jego niedoszłej ofiary. Spojrzał w dół, wciąż trzymając uniesioną rękę. Szybko, podświadomie, wyszeptał zaklęcie i poczuł, jak ze strachu jeżą mu się włoski na karku. Jego świadomość objęła całe ruiny, wyczuwając wszystkie istoty emitujące magiczną energię. Pierwszym zaskoczeniem było dlanie go, że kilku z jego bractwa zgasło... Jakby umierali... Wyczulił zmysły. Nagle poczuł ogniska ogromnej mocy, kryjące się na obrzeżach magicznych kręgów, oraz źródło, które gorzało tuż u jego stóp. Spojrzał na młodzieńca patrzącego na niego z dołu, a chłód bijący z oczu ofiary zmroził mu serce.

– Miałeś być osłabiony... – Wyskamdł. – Nie powinieneś mieć sił po ziołach...

Młodzieniec poderwał się na równe nogi, napinając mięśnie i jednocześnie rozpoczynając przemianę. Raptownym szcęknięciem ogniw łańcucha zlał się w jedno z falą bólu, jaki poczuł. Przez ułamek sekundy wydawałomusię, że jedynym i bezpośrednio z drugiego. Dopiero po chwili, gdy do jego skołatanego umysłu dotarło, iż leci bezwładnie w stronę szczątków muru, zrozumiał, co się stało. Bestia zerwała się ze smyczy podczas prze-

miany, po czym go zaatakowała. Głuche uderzenie w coś twardego wyrwało mu powietrze z płuc, by w uderzeniu serca później wyłączyć wszystkie jego zmysły. Osunął się w ciemność...

Świadomość kilkakrotnie do niego wracała, choć nie potrafił powiedzieć, jak długi czas upływał pomiędzy jednym a drugim rozwarciem powiek. Widział niewyraźnie postacie przemykające w obrębach światła, ale nie potrafił ich skojarzyć. Widział rozmazane cienie wielkiego wilka ścigającego swoje ofiary, widział umykających braci, widział też inne postaci, nieznane mu... A wszystko tonęło w opętańczych wrzaskach...

Zacisnął palce na twardym przedmiocie. Nie wiedząc, co to takiego, spróbował zogniskować wzrok na wyciągniętej przed siebie ręce. Nagle do jego uszu doleciał kobiecy głos.

– Co z tymi ranami Mateusza?

Spanikował. Z przerażeniem zamknął powieki i zmarł w bezruchu.

– To chyba jakieś zaklęcie – powiedział inny męski głos – już się zbliżniły, ale wyczuwam w nich magię.

Mężczyzna mówił coś jeszcze, czego nie zrozumiał. Nagle poczuł ostry zapach krwi i stracił przytomność wypowiadając zaklęcie.

Spróbował otworzyć oczy, jednak ostry blask wdzierający się przez uchylone powieki sprawił, iż zaraz znów je zamknął. Próbował parokrotnie, nim musiał udać. W jasnym rozmazanym świetle dostrzegł czyjąś sylwetkę pochylającą się nad nim. Był najmłodszym z zakonu, zmarł i został ożywiony, a teraz został namaszczonego mistrzem. Jedyne całe spośród zabitych. Mimowolnie uśmiechał się, spoglądając na głaz z odcisniętą lewą ręką. Głaz, który niegdyś był człowiekiem.

Człowiekiem będącym jednym z pięciu palców Lewej Ręki Boga, który zawarł w swoim jestestwie całą jego pięść. Palec, który stał się pięścią. Umierającą Światłością.

Znów poczuł przyjemne mrowienie w palcach, gdy do jego ciała zaczęła napływać, życie daj nam o ciśnień zabitych tej nocy. Gdy w końcu wstał, świtało, a on, najmłodszy z nich wszystkich, posiadał wszystkie tajniki mistrzów zgładzonych tej nocy. On, najsłabsze ogniwo stał się całym zakonem, a nad nim pozostał już tylko ten, który uosabiał Lewą Rękę Boga. Nim zapadł w swój kamienny sen, powierzył mu cel. Misję, która miała stać się jego życiem. Pragnienie będące drogą ku światłości.

Młodzi nie spojrzeli na kamień, po czym rozejrzeli się po polu boju. Rozszarpańcia leżały tam, gdzie dokonał swego żywota. Kilko rozdawnych braci napoczęły już dzikie zwierzęta. Wiedział, że nie może ich pochować, oddając im należną cześć. Naciągnął kaptur na głowę. Jego usta rozciągnęły się w ponurym śmiechu. Zemsta na Mateuszu musiała się dopełnić w przyszłości, a teraz nadszedł czas przygotowań do niej...